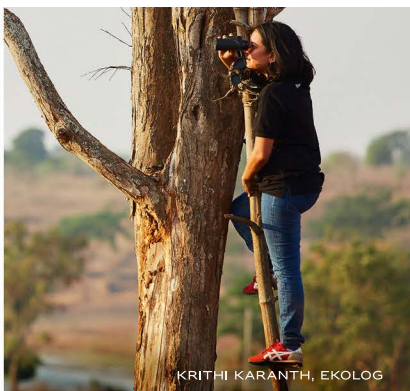




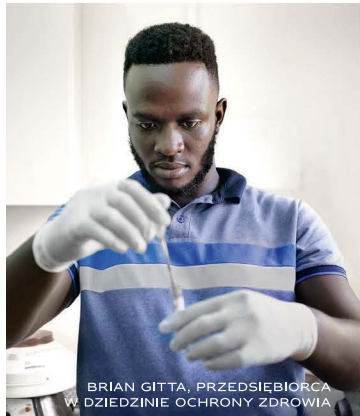
ANDREW MCGONIGLE, WULKANOLOG



KRITHI KARANTH, EKOLOG



GHISLAIN BARDOUT,
EKSPEDYCJA DEEPSEA UNDER THE POLE



BRIAN GITTA, PRZEDSIĘBIORCA
W DZIEDZINIE OCHRONY ZDROWIA



STUDENTKA OCEANOGRAFII I SYLVIA EARLE



NATIONAL GEOGRAPHIC AND
ROLEX PERPETUAL PLANET EVEREST EXPEDITION



FRANCESCO SAURO, GEOLOG

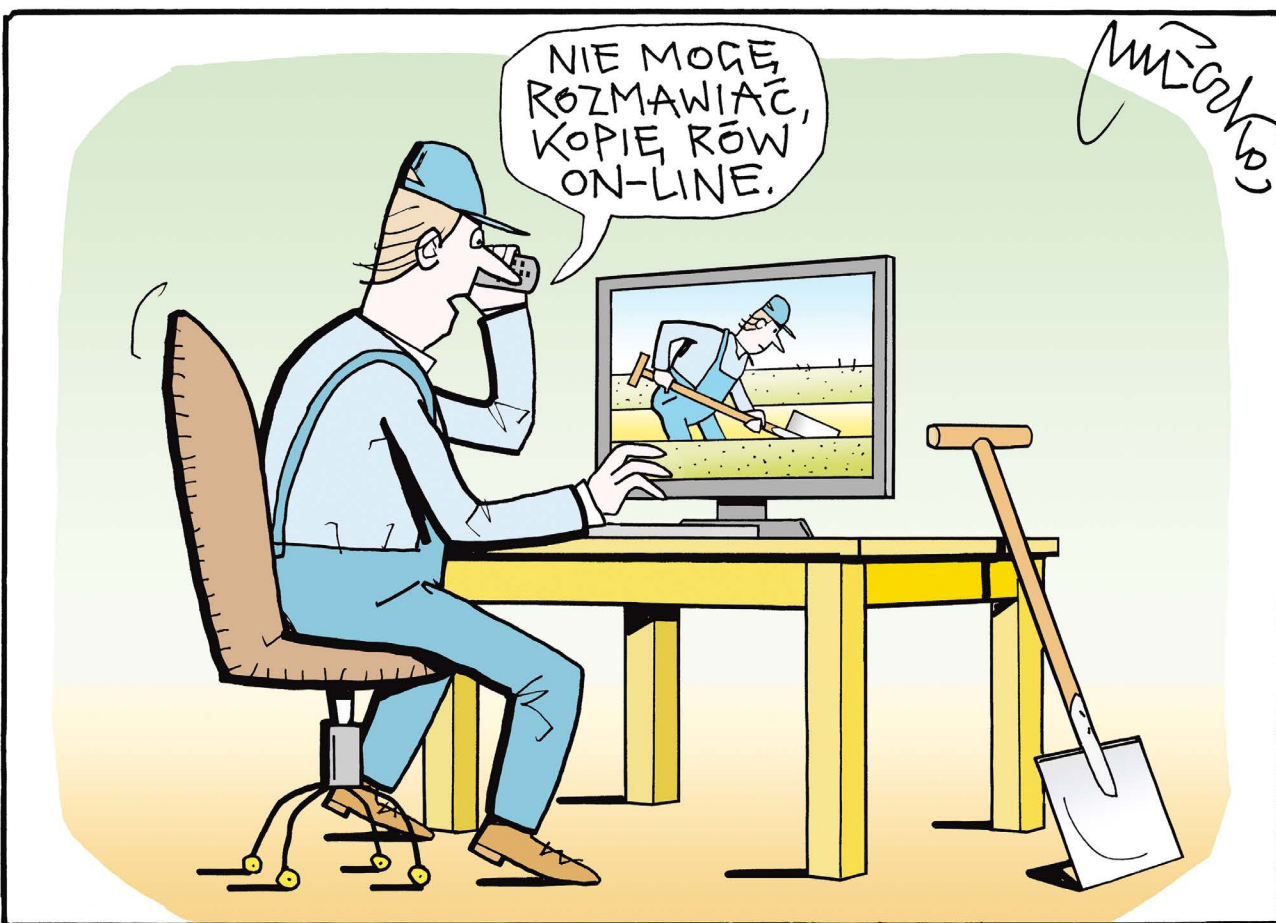
PERPETUAL PLANET

Dla twórcy marki Rolex, Hansa Wilsdorfa, świat był żywym laboratorium – przedmiotem eksploracji, źródłem twórczości i natchnienia. Wykorzystywał go jako poligon doświadczalny, testując swoje zegarki w najbardziej ekstremalnych miejscach i wspierając odkrywców, którzy wyruszali w nieznaną. Rolex kontynuuje tę tradycję, towarzysząc współczesnym badaczom w dążeniu do trwałego rozwoju naszej planety. Wspierając tych, którzy chronią oceany, badają efekty zmian klimatycznych i troszczą się o bardziej zrównoważony świat. Rolex współpracuje z naukowcami, odkrywcami i wizjonerami, którzy inspirują i kształtują przyszłe pokolenia. Sami możemy zejść daleko. Ale tylko wspólnie możemy zagwarantować naszej planecie... przyszłość.

Odkryj więcej na rolex.org

#Perpetual


ROLEX



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Szybki jak Ziobro

Skuteczny polityk na pewne zjawiska musi reagować natychmiast albo jeszcze szybciej. Dlatego nie zdziwiło mnie, że Zbigniew Ziobro przyznał 250 tys. zł na pisemny wniosek poszkodowanej przez Unię Europejską gminy Tuchów, zanim gmina Tuchów ten wniosek napisała. Być może władze tej gminy pisali swój wniosek za wolno i dlatego za Ziobrą nie nadążyli. Gdyby pisali szybciej, może udałoby im się wysłać wniosek, zanim Ziobro na niego odpowiedział. Nie wykluczam jednak, że polityk tak ambitny jak Ziobro mógłby się zdenerwować, że ktoś składa mu wniosek, którego on jeszcze nie rozpatrzył, co zmusiłoby go do odrzucenia wniosku.

Gdyby policja działała tak szybko jak Ziobro i z reakcją na pewne zjawiska nie zwlekała aż do chwili, gdy one się wydarzą, miałyby o wiele lepsze wyniki. Mogłaby np. spałować i pozamykać przedstawicieli środowisk LGBT za udział w proteście po aresztowaniu Margot, zanim wzięli oni w tym protestie udział, a nie dopiero po, gdy było już za późno. Z kolei samą Margot policjanci powinni aresztować za zniszczenie samochodu z hasłami homofobicznymi przed tym, a nie po tym, gdy na niego wskoczyła. Dzięki temu samochód byłby dziś w lepszym stanie, a porządek w miejscu publicznym udałoby się przywrócić, zanim został zakłócony.



Z pomysłu Ziobry mogliby skorzystać podlegli mu prokuratorzy, kierując do sądów akty oskarżenia, zanim oskarżane przez nich osoby zdążyłyby popełnić zarzucane im czyny. Z osądzeniem sprawców nie trzeba byłoby czekać do momentu, aż coś przeskrobia, co uprościłoby postępowania sądowe. Odpadłaby też czasochłonna procedura przesłuchiwania naocznych świadków, którzy z powodu tego, że przestępstwo zostanie popełnione dopiero później, nie mogliby niczego widzieć ani słyszeć.

Niedawno pisowski rzecznik praw dziecka poinformował o wyczynach edukatorów seksualnych, którzy „wychwytyją dziecko gdzieś rozchwiane, zaniedbane”, a następnie bez zgody rodziców podają mu „jakieś środki farmakologiczne, żeby zmieniać jego płeć”. Nie ujawnił, jak nazywa się to dziecko i podane mu środki, nie wiadomo także, pod wpływem jakich środków rzecznik całą sprawę upublicznił. Na szczęście dla dziecka dobra informacja jest taka, że żadne środki na zmianę płci zdaniem specjalistów nie istnieją, bo nie zostały jeszcze wynalezione. Niestety, edukatorzy seksualni zostali już wynalezieni, dlatego moim zdaniem rzecznik ma rację, że przed nimi ostrzega. Z tym że na razie edukatorzy są kompletnie zszokowani i rozchwiani informacjami na swój temat, dlatego nawet najbardziej zaniedbane dziecko nie musi się ich bać.

LIDL Z DUMĄ WSPIERA POLSKICH DOSTAWCÓW



**ANDRZEJ
SKIBA**

WŁAŚCICIEL ZAKŁADÓW
MIĘSNYCH SKIBA S.A.



Mięso z Kaszub od



Kup książkę

Kit narodowy



Jerzy Baczyński

Nowy minister zdrowia ogłosił nową, jesienną, strategię walki z pandemią. Najważniejsza zmiana polega na tym, że kwalifikować do testów i zwalniać z kwarantanny mogą już lekarze rodzinni, a nie jak dotychczas tylko sanepid. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że rzeczony sanepid przez cały czas trwania pandemii nie otrzymał żadnych dodatkowych etatów ani pieniędzy. To jest tak niewiarygodne, że nie może być przypadkowe: wygląda na to, że strukturalna niewydolność sanepidu była istotnym, może kluczowym elementem dotychczasowej państwowej strategii walki z epidemią. Dramatycznie mała, w porównaniu z innymi krajami, liczba skierowań na testy pozwalała utrzymywać statystykę zakażeń, także zachorowań i zgonów na niskim poziomie. Na zatorach w sanepidzie wyrastała rządowa propaganda sukcesu. Teraz następuje zwrot: po skrajnej centralizacji będzie skrajna decentralizacja. To lekarze podstawowej opieki zdrowotnej mają (po osobistych wyjazdach pacjentów w gabinetach) kierować podejrzanymi na testy. Grozi to – ostrzegają organizacje lekarzy POZ – że przychodnie staną się ogniskami roznoszenia zakażeń, a część personelu może rezygnować z pracy. Twierdzą, że nowa strategia nie była z nimi konsultowana i że rząd chce przerzucić całą odpowiedzialność za walkę z epidemią koronawirusa i nadchodzącą grypy na załogi słabo przygotowanych przychodni. Umywa ręce.

Czy coś to Państwu przypomina? Przed chwilą podobnie mówili nauczyciele i dyrektorzy placówek oświatowych o rządowej strategii ponownego otwarcia szkół. Zalecenia sanitarne i organizacyjne nie były konsultowane ani z ZNP, ani z samorządami, przygotowano je bardzo późno, w tajemnicy i na łapu-capu. Dyrektorzy mówią, że władze, nie dając ani jasnych instrukcji, ani informatycznego, medycznego i finansowego wsparcia, przerzuciły na nich odpowiedzialność za organizację zajęć i w ogóle sytuację epidemiczną w szkołach.

W obu obszarach, gdzie u progu jesieni kumulują się największe społeczne emocje i niepokoje – czyli w służbie zdrowia i edukacji – mamy więc do czynienia z podobną sytuacją. Nieważne, czy wprowadzane pośpieszenie zaleceń są bardziej czy mniej rozsądne; w przypadku niepowodzeń – można się założyć – winni będą lekarze, nauczyciele, dyrektorzy przychodni, szkół, samorządowcy, nawet jeśli „poszli w bój bez broni”. Decentralizacja jest sensowna, kiedy wraz z odpowiedzialnością są w dół przekazywane środki, a rozdział kompetencji i zadań jest klarowny i uzgodniony między zainteresowanymi. Wymaga to jednak choćby elementarnej współpracy i zaufania. W Polsce 2020 władza centralna dba przede wszystkim o własne wizerunkowe bezpieczeństwo, zawsze gotowa propagandowo zaatakować dowolną instytucję państwa czy środowisko, jeśli pozwala to przekierować gdzieś i na kogoś społeczne niezadowolenie.

Ba, czasem wydaje się, że rząd jak sęp krąży nad państwem i wypatruje kłopotów, które mogą stać się zdobyczą propagandową. To, co władze centralne wyprawiały po awarii warszawskiej Czajki, jest tego dosadnym przykładem. Bezpodstawne oskarżenia, próby utopienia w ściekach (również słownych) głównego rywala politycznego i jego politycznej inicjatywy, obciążanie miasta finansowymi kosztami pomocy wojska (piszemy o tym obszerniej na s. 12), wszystko to ujawnia jakieś dzikie schadenfreude ekipy z Nowogrodzkiej z powodu tej awarii.

W ogóle upolitycznienie, a ściślej upartyjnienie administracji rządowej to jeden z najniebezpieczniejszych procesów chorobowych, jakie toczą dziś polskie państwo. Ministerstwa, urzędy centralne, inspekcje stają się zamkniętymi, podporządkowanymi hierarchicznie wykonawcami dyrektyw. To, co zwykle uważamy za patologie każdej biurokracji – brak społecznych konsultacji, unikanie odpowiedzialności, ignorowanie praw obywateli – staje się powszechną praktyką (mówi o tym odchodzący rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, s. 23). Organy władzy państwowej przekształcają się „we władzę”.

Po wygranych przez PiS wyborach ten proces, niestety, się nasilił. Zapowiedziana (i słabo uzasadniona nieznacznymi oszczędnościami) redukcja kadr w administracji rządowej (zatrudniającej prawie 200 tys. ludzi) wygląda na kolejny etap partyjnej konsolidacji aparatu państwa. Zagrożony zwolnieniem może być każdy urzędnik, a to wróży selekcję według kryterium posłuszeństwa. Naprzeciw traktowaniu podejrzliwie i niechętnie administracji samorządowej mają stanąć zwarte struktury partio-państwa. Tak to wygląda. Przypominanie o idei służby cywilnej, otwartych konkursach na funkcje publiczne i administracyjne, o doborze kadr według kompetencji, postulowanej gwarancji zatrudnienia dla urzędników państwa – dziś brzmi jak kpina. Nigdy tu nie było idealnie, ale teraz spisało wszystko. Tym bardziej trzeba podziwiać zręczność, z jaką PiS od lat wykorzystuje językowy patos, narodowe mity, klisze, kompleksy do przykrywania najbardziej płaskich politycznych i finansowych interesów.

Na pogrzebie Pani Profesor Marii Janion – na który oczywiście nie pofatygował się żaden przedstawiciel rządu – słuchając wielu wzruszających, mądrych wystąpień, pomyślałem, że może ktoś tam jednak przeczytał cokolwiek z Janion i bał się wstydu? Pani Profesor, pisząc o epigońskich wynaturzeniach polskiego romantyzmu, na wiele lat przed PiS zwracała uwagę na – ciągnącą się przez polską historię – ideologię zwulgaryzowanego mesjanizmu, łączącego zadęcie i pychę z biernością i pretensjami wiecznej ofiary. Mówiła o niebezpieczeństwach tworzenia państwowej religii politycznej, traktującej odmienności przekonań, ale właściwie wszelkie odstępstwa od uświęconej, zadekretowanej normy, jako akt winy i zdrady. Antysemityzm, homofobia, mizoginizm, rasizm, bigoteria – to mroczne tło owego „narodowego charyzmatu”, o którym pisała Profesor. Pewnie to zbyt niżej zaszczyt, aby do PiS stosować kategorie wprowadzone do polskiej humanistyki przez Marię Janion, ale przecież widać, że większość Polaków wciąż daje się tą – usprawiedliwiającą każdą nieprawość i nieudolność – retoryką znieczulać i zaspokajać. Dobrze, że przynajmniej część młodego pokolenia (chyba rosnąca, jak zauważyliśmy podczas wyborów prezydenckich) ma to gdzieś, a ostatnie, czego oczekuje od władzy, to żeby „w imię narodowych wartości” sprawowała władzę nad nimi i ich życiem. Do nich PiS już nie trafi. Co, jak na czas politycznej smuty, przynosi odrobinę optymizmu.

Jan Koza

POLSKIE TRADYCJE I ZWYCZAJE
WOBEK KOBIET



© JAN KOZA

Ziobryści dzieciom

Rzecznik praw dziecka **Mikołaj Pawlak** oświadczył na antenie TVN24, że edukatorzy seksualni w Poznaniu „wychwytyują dziecko rozchwiane, zaniedbane, któremu dają jakieś środki farmakologiczne, żeby zmieniać jego płeć bez wiedzy i zgody rodziców i lekarzy”. Złożył też zawiadomienie do Prokuratury Krajowej o możliwości popełnienia przestępstwa nielegalnej sprzedaży osobom małoletnim środków farmakologicznych wspomagających modyfikację płci. Prokuratura natychmiast wszczęła śledztwo. Opozycja domaga się odwołania Pawlaka, a politycy z Nowogrodzkiej są przekonani, że jest rycerzem wojny ideologicznej, którą podgrzewają ziobryści – aby odróżnić się od PiS.

Przed końcem pięcioletniej kadencji odwołać RPD można tylko jeśli: sam zrzekł się urzędu; stał się trwale niezdolny do pełnienia obowiązków na skutek choroby lub utraty sił; sprzeniewierzył się złożonemu ślubowaniu; został skazany prawomocnym wyrokiem za przestępstwo umyślne.

Politycy PiS bronią Pawlaka, acz ostrożnie. Rzecznik partii Radosław Fogiel: „Jeśli chodzi o dobro dzieci i ich bezpieczeństwo, to lepiej zgrzeszyć nadmiarem ostrożności niż jej brakiem”. Murem stają za nim ludzie związani ze Zbigniewem Ziobrą. Wiceminister w resorcie sprawiedliwości Sebastian Kaleta: „Mikołaj Pawlak jest świetnym rzecznikiem praw dziecka. Broni polskie dzieci przed, w tym przypadku, naprawdę bardzo intensywną ofensywą lewicy”. – *Pawlak jest od dawna związany z ziobrystami i teraz wspiera ich dolewaniem oliwy do ognia w sprawie walki z LGBT. To oni wpadli na pomysł, aby zrobić z niego RPD, a my, jak teraz widać, niepotrzebnie się na to zgodziliśmy* – mówi polityk bliski Nowogrodzkiej.



© TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Obóz władzy wybrał Pawlaka na RPD w grudniu 2018 r. – po perturbacjach z wycofywaniem w ostatniej chwili kandydatki już wcześniej zatwierdzonej przez PiS. Wybrał, choć ten nie spełniał ustawowego warunku posiadania pięcioletniego doświadczenia w pracy z dziećmi lub na ich rzecz.

Wcześniej przez wiele lat Pawlak prowadził sprawy o stwierdzenie nieważności kościelnych małżeństw, od dziesięciu lat jest adwokatem, a w 2016 r. Ziobro zatrudnił go w swoim resorcie na stanowisku dyrektora Departamentu Spraw Rodzinnych i Nieletnich. Raptem kilka dni przed tym, jak ziobryści wpadli na pomysł, aby zrobić z niego RPD, upolityczniona KRS wniosowała o powołanie go na sędziego sądu w Skierniewicach. Rzecznik chwali Ziobrę przy wielu okazjach.

Jeden z polityków PiS przyznaje, że wybór Pawlaka to był polityczny urobek Solidarnej Polski w negocjacjach z Nowogrodzką. – *W 2006 r. wybraliśmy na RPD*

Ewę Sowińską, bo ustąpiliśmy Lidze Polskich Rodzin. Zapamiętano ją głównie z tego, że podejrzewała Teletubisia z damską torebką o homoseksualizm. Ona sama po dwóch latach podała się do dymisji, ale po Pawlaku absolutnie się tego nie spodziewamy – przyznaje poseł PiS. Po Sowińskiej na RPD wybrano Marka Michalaka, który bez kontrowersji przepracował na stanowisku dwie kadencje. Z jego inicjatywy podniesiono kary za najcięższe przestępstwa wobec dzieci oraz wprowadzono odpowiedzialność karną dla osoby, która miała dostateczną wiedzę, a nie powiadomiła organów ścigania o przestępstwie wobec dziecka.

Budżet RPD na 2020 r. wynosi 17,471 mln zł. Wydatki w porównaniu do 2019 r. są wyższe o ponad połowę. Ten wzrost Pawlak tłumaczył m.in. powołaniem nowego zespołu ds. wychowania w rodzinie. Wojna z LGBT tania nie jest. (DĄB.)

Sądy uchylają mandaty

Nakazy i zakazy antycovidowe są niechlujne i chaotyczne. Naruszają konstytucję, w tym zasadę pewności prawa. Władza PiS nie chce ich poprawić. Więc znowu sytuację prostują sądy.

Ostatnio mieliśmy dwa głośne przypadki kontestowania przepisów przeciwpandemicznych: klientki sklepu w Augustowie, która nie chciała założyć maseczki, a kasjerka odmówiła jej obsłużenia, oraz aktora, którego ochrona nie wpuściła bez maseczki do sklepu IKEA. Kasjerkę sąd ukarał grzywną za nieuzasadnioną odmowę świadczenia usługi. Zdecydował tak mimo rozporządzenia nakazującego noszenie masek. Powód jest prosty: od egzekwowania takich nakazów jest policja, ewentualnie inspekcja sanitarna, to nie rola usługodawcy.

Ale mandaty nakładane przez policję sądy też uznają za bezprawne, bo wydane na podstawie bezprawnego prawa. Już w kwietniu RPO Adam Bodnar zwracał rządowi uwagę, że podstawa ustawowa, na którą ten się powołuje w swoich kolejnych rozporządzeniach antycovidowych, nie uprawnia do nakładania zakazów i nakazów na wszystkich. Przywoływany

przez władzę zapis ustawy o chorobach zakaźnych pozwala nakładać obostrzenia tylko na osoby zakażone lub podejrzane o zakażenie. Mimo to Rada Ministrów i minister zdrowia wydali już na jego podstawie dziewięć rozporządzeń zawierających ograniczenia nakładane na wszystkich.

Nawet jeśli sam zakaz czy nakaz (np. noszenia maseczek w pomieszczeniach zamkniętych) jest racjonalny, to gdy jest wydany bez podstawy prawnej, jest bezprawny.

W efekcie sądy administracyjne, a także sanepid uchylają – drakońskie często – mandaty administracyjne nakładane przez policję. Teraz zaczęły to robić wydziały karne sądów powszechnych w stosunku do mandatów za wykroczenie niestosowania się do nakazów i zakazów. Nie tylko z powodu braku podstawy prawnej. Ale i z powodu oczywistej nieproporcjonalności zakazów – np. wchodzenia do lasów z powodu pandemii czy też ograniczenia wolności zgromadzeń, podczas gdy konstytucja pozwala to robić tylko w ramach stanu nadzwyczajnego, którego władza – dla realizacji własnych interesów – nie chciała wprowadzić. Wolała zmuszać sądy do sankcjonowania bezprawnego prawa. I trafiła kosa na kamień. (ES)

Wzór na skuteczną opozycję

Rafał Matyja

Historyk, politolog, doktor habilitowany nauk społecznych



Przegrane wybory to dla opozycji zawsze okazja do istotnej rewizji dotychczasowej polityki, zmiany władz, stworzenia bardziej efektywnych struktur. To czasami także okazja do zmiany przywództwa i wizerunku. Nic nie wskazuje na to, by taki skutek przyniosła ostatnia kampania prezydencka. A przecież dla dwóch mniejszych klubów opozycyjnych skończyła się ona dotkliwą porażką, a ten trzeci – uniknął katastrofy tylko dlatego, że w przesuniętym terminie dano mu możliwość zmiany kandydata. Opozycja, która nie powiedziała, co z tym wszystkim zrobi, nie skorzystała z jedyne go pozytywnego wymiaru wyborczej porażki. I wróciła do dawnego dryfu.

Dryf ten od pięciu lat polega na przywiązywaniu większej wagi do rywalizacji między ugrupowaniami opozycyjnymi niż do walki z partią rządzącą oraz na niezdolności do utrzymania wspólnej linii w grze przeciwko PiS. Największą szansę na wyprowadzenie opozycji z tego dryfu miał w ostatnich miesiącach Rafał Trzaskowski. Z analiz powyborczych wynikało bowiem, że potężne poparcie, jakie otrzymał w drugiej turze wyborów, jest przede wszystkim pochodną niechęci blisko połowy elektoratu do obozu Jarosława Kaczyńskiego. A to już była wystarczająca podstawa do uzgodnienia wspólnych działań opozycji prowadzonych pod egidą jej najsilniejszego polityka, ale bez tworzenia uprzywilejowanej pozycji jego partii.

Gdyby w pierwszych dniach września szeroka, wielonurtowa opozycja – obejmująca nie tylko trzy kluby, ale także zwolenników Szymona Hołowni, najsilniejszego po Trzaskowskim kandydata w wyborach prezydenckich – zaprezentowała na przykład raport o stanie przygotowań państwa do jesiennej fali zachorowań

na Covid-19, to zaistniałaby jako realna alternatywa wobec obecnej ekipy i promowanego przez nią sposobu sprawowania władzy. Tego raportu nie było i nie będzie. Bo w międzyczasie opozycja wplątała się w wątpliwą operację wsparcia podwyżek dla klasy politycznej i zawarła sojusz na rzecz podwyższenia środków dla partii politycznych. Czyli realnie – dla utrudnienia wejścia do systemu nowym ugrupowaniom.

Co więcej, plan podstawowy zaprezentowany przez Trzaskowskiego zakłada budowanie nowego ruchu społecznego, który w sposób oczywisty nie jest odpowiedzią na rząd PiS, ale na pojawienie się konkurencji po stronie opozycyjnej. Trzaskowski przyjął zatem najbardziej konfrontacyjną strategię – wzmacniania PO i osłabiania konkurencji po stronie przeciwników obozu władzy. Wbrew pozorom nie jest to pomysł analogiczny do PiS, który wiązał ze sobą środowiska społeczne o sporej autonomii: kluby „Gazety Polskiej”, środowisko Radia Maryja. Zapraszano na listy prawicy liderów tych środowisk, ale nie budowano jakiegoś równoległego poziomu politycznej afiliacji.

Otwartość Platformy głoszone od dawna, ale jej praktyczny wymiar – choćby w ostatnich wyborach parlamentarnych – był mocno dyskusyjny. Wśród 19 bezpartyjnych posłów Koalicji Obywatelskiej większość stanowili politycy, tacy jak Paweł Kowal, Grzegorz Napieralski, Paweł Poncyljusz czy Bartłomiej Sienkiewicz, a nie działacze NGO-sów i aktywiści w rodzaju Franciszka Sterczewskiego. Trudno w tej sytuacji wierzyć w kolejne „otwarcia”. Zresztą nie tędy droga.

Wzór na skuteczną opozycję jest prosty. PiS odsunie od władzy ten, kto zbuduje najsukuczniejszą alternatywę. Wyniki wyborów parlamentarnych i prezydenckich mówią, iż warunkiem sukcesu jest wyjście poza obecną formułę lub czekanie na jakąś katastrofę w obozie władzy. PO jest partią, która woli liczyć na to drugie, niż zaryzykować zmianę formuły współpracy z innymi partiami i – co za tym idzie – bardziej partnerskie rządy po odebraniu władzy PiS.

Nowa danina: tym razem od deszczu

Już po wyborach, kolejne podatki można więc nakładać bez politycznych konsekwencji. Po podatku od słodzonych napojów przyszła kolej na deszczówkę. Daninę od niej zapłacą nie tylko właściciele domków jednorodzinnych, ale także mieszkańcy bloków w nowych osiedlach. W teorii ma to pomóc finansować walkę z suszą, tak naprawdę chodzi jednak o zasypywanie coraz większej dziury w budżecie.

Podatek od deszczówki rząd PiS wprowadził w 2018 r. w ustawie Prawo wodne, którą teraz zamierza znulizować. Do tej pory płacili go właściciele nieruchomości większych niż 3,5 tys. m kw., jeśli co najmniej 70 proc. ich powierzchni zostało pokryte asfaltem lub betonem, uniemożliwiającymi deszczówce wchłonięcie w ziemię. Czyli głównie nakładano go na właścicieli hipermarketów, fabryk i magazynów. Rządzący chcą, aby od 2022 r. opodatkowanych było 20 razy więcej nieruchomości (obecnie płacą go właściciele ok. 7 tys. nieruchomości).

Nowa danina najbardziej dotknie posiadaczy domków jednorodzinnych, ale i mieszkańcy bloków będą musieli się dołożyć – im gęściej zabudowane osiedle, tym karna opłata ma być wyższa,



bo liczona od metra zabetonowanej powierzchni. Z obliczeń Ministerstwa Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej wynika, że przeciętny podatek za deszcz na 600-m działce z domkiem jednorodzinny, w połowie pokrytej np. kostką brukową, wyniesie rocznie 1350 zł. Portal Business Insider wyliczył, że na jedno mieszkanie na stołecznym Miasteczku Wilanów przypadnie 52,50 zł. Podatek od deszczówki nie obejmie jednak kościołów.

Rząd chce walczyć z betonozą. Zbyt wiele powierzchni, zwłaszcza w miastach, pokrywa się kostką brukową lub asfaltem – zamiast pozostawić trawniki i drzewa. Woda deszczowa nie wsiąka więc w ziemię, lecz wpływa do kanalizacji, zwiększając tym samym niebezpieczeństwo powodzi. Z przedstawionego przez rząd projektu nowelizacji Prawa wodnego nie wynika jednak, że betonu będzie mniej. Aż 90 proc. sum z opodatkowanej deszczówki wpłynie bowiem do kasy państwowego molocha Wody Polskie, reszta – do lokalnych samorządów, które mają podatek wyliczać i pobierać. Nikła nadzieja, że WP zainwestują go w małe zbiorniki retencyjne, skoro do tej pory tego nie robiły.

Jest więc jak w jednym z internetowych memów, na którym Mateusz Morawiecki pyta: „Lubicie niskie podatki? To się dobrze składa. Mam dla was kilka nowych niskich podatków”. (J.SOL.)



Szkoła na wdechu

W kilkunastu placówkach w całym kraju nie udało się rozpocząć roku szkolnego 1 września. Wszystko z powodu zakażenia koronawirusem (lub jego podejrzenia) wśród pracowników szkoły. Tam, gdzie rok szkolny się zaczął – w 22 tys. szkół – po niemal półrocznej przerwie na ogół witano się w wąskich grupach klasowych; bez uroczystych apeli i obecności rodziców, w reżimie sanitarnym. Tu i ówdzie nie przeszkodziło to jednak organizować mszy świętych inaugurujących naukę. Na taką mszę zapraszała m.in. szkoła we Wróblowej na Podkarpaciu, gdzie już wieczorem 1 września potwierdzono zakażenie Covid-19 u jednego z nauczycieli (według władz gminy nauczyciel nie brał udziału w rozpoczęciu roku, jednak kilka dni wcześniej miał styczność z resztą kadry w trakcie rady pedagogicznej; szkoła przeszła na kształcenie zdalne).

1 września był także pierwszym dniem pracy pełną parą dla 22 tys. przedszkoli, punktów przedszkolnych i szkolnych oddziałów przedszkolnych. Wiele z nich było czynnych w wakacje, ale dopiero wraz z rozpoczęciem roku szkolnego frekwencja wróciła tam do tej sprzed pandemii. Ministerstwo Edukacji i sanepid złagodziły część wytycznych sanitarnych dla przedszkoli, jednocześnie pozostawiły do uznania dyrekcji placówek podejście m.in. do mierzenia temperatury przy wejściu. Wszystko to razem sprawiło, że początkowo przed wieloma placówkami ustawiały się ogromne kolejki rodziców z dziećmi.

W szkołach powoli wykuwa się sposób praktycznego podejścia do zasad bezpieczeństwa. Jeśli pokusić się o ogólne podsumowanie, przebieg tego testu nie nastraja zbyt optymistycznie. W wielu miejscach postawiono na realizację twardszych wytycznych, łatwych do wykazania w sprawozdaniach: roztawiono dyspensery z płynami odkażającymi, wlało mydło do pojemników w toaletach, wpisano w regulaminy noszenie maseczek w przestrzeniach wspólnych, rozciągnięto od świtu do wieczora plany lekcji. Dystansu społecznego nie sposób jednak zachować. Dzieci siedzą na lekcjach w dwuosobowych ławkach, bo innych nie ma; przeciskają się wraz z nauczycielami przez wąskie korytarze na przerwach. Na dwór wyjść nie ma kiedy, bo trzeba „nadrabiać zaległości” po zdalnym nauczaniu. W tych okolicznościach ze swobodą zaczyna się traktować i wymóg noszenia maseczek, i korzystania z dyspenserów – choć wiszą, nikt do nich nie zagania.

W większości szkół panuje atmosfera „na wdechu”: zobaczmy, jak długo uda się normalnie pracować. Według danych MEN, przekazanych w poniedziałek, na zdalne lub hybrydowe nauczanie przeszło już 80 szkół, przedszkoli i placówek oświatowych. Zgody sanepidu na naukę zdalną nie dostało warszawskie LO im. K. Hoffmanna, mimo wykrycia dwóch zakażeń koronawirusem i skierowania na kwarantannę kilkudziesięciu uczniów oraz kilkunastu nauczycieli (w szkole wprowadzono nauczanie hybrydowe). (J. CIEŚL.)

REKLAMA

 **audiofon**

Wirtualny Gabinet Słuchu

**Zdalne
dopasowanie
aparatów
słuchowych**

**Bezpłatna infolinia:
800 806 900**

www.audiofon.com.pl



[Kup książkę](#)



Ruch szuka bazy

Białoruski ruch protestu – to już miesiąc – nie wytraca impetu. W pierwszą deszczową niedzielę września pod pałac prezydenta Aleksandra Łukaszenki przyszło 100–200 tys. osób, tradycyjnie manifestowano też w innych miastach. Mobilizacja i nastrój demokratycznego festynu niezmiennie się utrzymują, ale wciąż energia ulicy nie przekłada się na start negocjacji z władzą. Nie ma więc widoków na powstrzymanie znów mocno bijących i aresztujących służb, na zwolnienie zatrzymanych ani rozpisanie uczciwych wyborów. Te postulaty liderka opozycji Swiatłana Cichanouska prezentowała, występując przed Radą Bezpieczeństwa ONZ, będzie je też pewnie powtarzać podczas tegotygodniowej wizyty w Polsce. Ulica i zagranica nie wystarczają, bo niechciany reżim po prostu się trzyma.

Szantażowaniem robotników udaje się odwozić wielkie zakłady pracy od strajków, a bez nich trudno wyobrazić sobie masę krytyczną, która mogłaby zmusić władze do uznania manifestantów i ich reprezentacji za poważne zagrożenie. A co za tym idzie partnerów do jakichś układów. Rodzice słyszą w przedszkolach i szkołach, że rodziny uczestników protestów mogą zostać uznane za dysfunkcyjne, co grozi odebraniem dzieci. Zintensyfikowano

prześladowania skupiającej siły opozycyjnej Rady Koordynacyjnej, w Polsce schroniła się Olga Kowalkowa, członkini jej prezydium, która stanęła przed ultimatum: albo więzienie, albo wyjazd z kraju. Radzie będzie potrzebny polityczny kościół, np. wśród współpracowników uwięzionego Wiktora Babaryki (niedoszedł kandydata na prezydenta w ostatnich wyborach) pojawił się pomysł powołania partii, co jednak przyjęto jako groźbę rozłamu.

Za utrzymanie Łukaszenka płaci coraz wyższą cenę, jej wysokość sondował w Mińsku rosyjski premier Michaił Miszustin. Za pomoc Rosja żąda tego, co zwykle: przyspieszenia integracji obu państw, dopuszczenia do prywatyzacji białoruskich przedsiębiorstw, zgody na utworzenie baz wojskowych. Łukaszenkę osłabia i bunt rodaków, i własne próby wzmocnienia wizerunku, przeciwnie skuteczne okazują się operetkowe występy z kałasknikiem w rękę i najnowszy majstersztyk: „przechwycenie” dziwacznej minutowej rozmowy telefonicznej „Berlina z Warszawą”, w której rozmówcy dają Rosji alibi w sprawie otrucia Aleksieja Nawalnego. Przy okazji uznają Łukaszenkę za twardy orzech do zgryzienia i przynajmniej tu mają rację.

Jak pomóc Białorusi – s. 48.

Nawalny i rura

Jeśli nie mieli z tym nic wspólnego, w ich własnym interesie jest to udowodnić – powiedział o Rosjanach szef niemieckiego MSZ Heiko Maas w wywiadzie dla „Bild am Sonntag”. Oświadczył, że niemiecki rząd uzna władze rosyjskie za winne otrucia lidera rosyjskiej opozycji **Aleksieja Nawalnego**, którego w poniedziałek wybudzono ze śpiączki farmakologicznej, chyba że prezydent Putin dostarczy dowody na swoją niewinność „w ciągu kilku następnych dni”. Maas zasugerował, że Berlin „może zostać zmuszony” nawet do zablokowania budowy podbałtyckiego gazociągu Nord Stream II.

To pierwsza taka wypowiedź tak ważnego niemieckiego polityka odnośnie do ukończonej już w ponad 90 proc. inwestycji, wartej 12 mld euro. W podobnym



tonie wypowiedzieli się już m.in. Norbert Röttgen, szef komisji spraw zagranicznych Bundestagu, oraz jeden z możliwych następców Merkel w CDU i urzędnik kanclerskim Friedrich Merz. Tego zdania jest też pani minister obrony Annegret Kramp-Karrenbauer. W poniedziałek również kanclerz Merkel, zwolenniczka gazociągu, który pozwoli Rosji ominąć Europę Środkową, przyznała, „że nie wyklucza żadnej możliwości”.

Nawalny stracił przytomność 22 sierpnia podczas lotu z Tomśka do Moskwy. Po awaryjnym lądowaniu rosyjscy lekarze wprowadzili go w stan śpiączki. Pod presją Zachodu trafił do berlińskiej kliniki Charité. Niemcy ustalili, że niemal na pewno został otruty nowicokiem, silnie toksyczną substancją stworzoną w ZSRR i wciąż używaną przez Rosję do mordowania przeciwników politycznych. Czy może się okazać równie śmiertelny dla podmorskich gazociągów?

Rebelia Chomików

Tajlandia to jeszcze nie jest skala Białorusi, ale podobieństwa łatwo odnaleźć: ubiegłotygodniowe antyrządowe protesty w Bangkoku były największe od wielu lat. Zaczęły się jeszcze w lutym, potem przytłumił je zakaz zgromadzeń z powodu pandemii, teraz wybuchły na nowo – i mają trwać aż do skutku. Główne postulaty są trzy: rozwiązanie parlamentu i nowe wybory, korekta konstytucji oraz zaprzestanie prześladowania krytyków władzy. W tle jest jeszcze reforma monarchii (tu akurat wszystko trzeba bardziej owijać w bawełnę, bo krytyka władcy jest zabroniona pod karą 15 lat więzienia). Obecny, Maha Vajiralongkorn, Rama X, w niczym nie przypomina zmarłego w 2016 r. poprzednika Bhumibola Adulyadeja, charyzmatycznego i wielbionego, na tronie przez 70 lat. Nowego króla wspiera wojsko, schronił się zresztą w Bawarii, gdzie sprawnie używanie tabloidom: opisują jego 20-osobowy harem i inne niedzisiejsze obyczaje.

Praktycznie rządzi armia. W marcu 2019 r., po wyborach, które po latach miały zakończyć władzę wojskowych, premierem

został gen. Prayuth Chan-ocha, a główna partia opozycyjna FFP została pod byle pretekstem rozwiązana. Później zaginął główny opozycjonista, został porwany z ulicy. Wtedy zaczęły się protesty.

Rebelia ma pokoleniowy charakter, obejmuje głównie młodych, ma za symbol popularnego chomika z kreskówki i jest organizowana za pomocą mediów społecznościowych. Wiele nauczyła się od rówieśników z Hongkongu i Tajwanu, m.in. organizowania flashmobów. Razem stanowią nową rosnącą siłę, zaczęto ich nawet nazywać „stowarzyszeniem mlecznej herbaty”, od ulubionego napoju. Ostatnio, na skutek nacisków władz, Facebook za-blokował w Tajlandii stronę krytyków monarchii, z milionem uczestników, kierowaną z Japonii. Szybko odrodziła się w innej postaci. Wiele akcji podważających monarszą władzę oraz jej praktykę prowadzonych jest za granicą, głównie w Niemczech, pod nosem Ramy.

Starsze pokolenie wydaje się nie podzielać rozterek protestujących. Młodzi raczej nie ustąpią i przemawia za nimi biologia, ale na zmiany mogą jeszcze sporo poczekać.



Emiracka atomówka

Zjednoczone Emiraty Arabskie wyrzuciły, z pomocą Japonii, sondę kosmiczną na Marsa, a teraz uruchamiają kolejny prestiżowy projekt. W Baraka, przy granicy z Katar, ruszył pierwszy blok elektrowni jądrowej, pierwszy także w całym świecie arabskim. Cztery takie bloki w perspektywie zaspokoją 25 proc. lokalnego zapotrzebowania na energię elektryczną i rocznie zaoszczędzą atmosferze tyle, ile emituje 3,2 mln ukochanych tu SUV-ów. Tak przynajmniej z dumą ogłoszono. Emiracką atomówkę buduje konsorcjum południowokoreańskie (konkurencyjny projekt francuski okazał się dużo droższy).

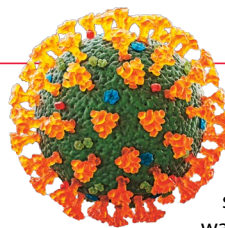
Według ekspertów Międzynarodowej Agencji Atomowej projekt spełnia najwyższe standardy bezpieczeństwa, ale w regionie nie została przyjęta z czystym entuzjazmem, bo to jednak atom. Katar, lokalny konkurent, ogłosił, że nowa elektrownia „stanowi zagrożenie dla pokoju i środowiska w regionie”. Dwa inne tego typu projekty powstają w Egipcie i Arabii Saudyjskiej. Egipski, wykorzystujący rosyjską technologię (i finansowany przez rosyjski Rosatom), jest bardziej zaawansowany; Saudyjski, który nie ma jeszcze wykonawcy, jest dużo ambitniejszy. Saudyjczycy nie kryją też ambicji, aby podobnie jak Iran, główny wróg Zatok, móc wzbogacać uran, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Covid-19, tydzień czterdziesty pierwszy

Liczba przypadków koronawirusa w 198 państwach przekroczyła 27 mln, w ciągu tygodnia przybyło 1,7 mln, a liczba ofiar – 886 tys. (według Johns Hopkins University, w poniedziałek, 7 września). Ponad połowa zakażonych przypada na Stany Zjednoczone, Brazylię i Indie. W USA zanotowano blisko 6,3 mln przypadków i 189 tys. ofiar śmiertelnych. Prezydent Trump nakręca wyścig, aby szczepienia mogły ruszyć w okolicach listopadowych wyborów. Magazyn „Lancet” poinformował, że rosyjska szczepionka Sputnik V wytworzyła przeciwciała u wszystkich 38 ochotników biorących udział w testach; wyniki trzeciej fazy badań (na 3 tys. osób) znane będą w październiku. Także Pfizer zapowiada na październik ogłoszenie wyników testów swojej szczepionki, a GSK i Sanofi, które prowadzą wspólne prace – na początek grudnia. Według WHO na całym świecie trwają prace nad 176 szczepionkami, ale masowych szczepień należy się spodziewać najwcześniej w drugiej połowie 2021 r.

Najsilniejsze ognisko koronawirusa znajduje się w Ameryce Łacińskiej – ponad 7,4 mln infekcji. Głównie w Brazylii, ale też w Peru, Kolumbii, Meksyku i Argentynie. W Brazylii, gdzie liczba nowych przypadków przekroczyła 4,2 mln i jest ponad 127 tys. ofiar śmiertelnych, pojawiają się oznaki stabilizacji. Indie – azjatyckie epicentrum – też mają 4,2 mln chorych, codziennie przybywa 90 tys. i kryzys sanitarny daleki jest od opanowania. W drugim kwartale gospodarka Indii skurczyła się o 23,9 proc. i zapowiada się najgorsza recesja od czasu ogłoszenia niepodległości. W Rosji, czwartej pod względem liczby zarażeń, jest ich milion i 17,8 tys. śmiertelnych. Ponad połowa przypadków w Afryce – 639 tys. – przypada na RPA; od miesiąca przybywa ich wolniej, tak jak na całym kontynencie.

W Europie prawie wszędzie zwiększyła się skala infekcji, nowych przypadków jest tyle, ile było w marcu, szczególnie wiele wśród młodych. Drastyczny wzrost nastąpił



w Hiszpanii, wiele we Włoszech, Francji, Niemczech, Portugalii, także w Czechach, które wcześniej szybko opanowały sytuację. Wprowadzane są dodatkowe obostrzenia, doskonalone rozwiązania, ale zgodnie odrzucana jest idea powrotu do lockdownu. W Niemczech pozytywną reakcję wywołała propozycja aktywnego w pandemii eksperta wirusologa prof. Christiana Drosten, aby osobom z objawami skrócić kwarantannę z 14 do 5 dni. W pobliżu lotniska w Madrycie od czerwca budowany jest w szybkim tempie nowy szpital zakaźny na tysiąc pacjentów, wykorzystujący ostatnie doświadczenia w unikaniu zakażeń; ma ruszyć w listopadzie.

Kraje członkowskie powołały zespół, który oceni działalność WHO od wybuchu epidemii, zwłaszcza w jej początkowej fazie. Na czele stanęły dwie byłe: prezydent Liberii Ellen Johnson Sirleaf i premier Nowej Zelandii Helen Clark, a wśród członków jest m.in. były szef brytyjskiej dyplomacji David Miliband i bardzo krytyczna wobec WHO była szefowa Lekarzy bez Granic Joanne Liu. Pierwsze ustalenia ogłoszą w październiku.



Tunel pod Wisłą.
W tym miejscu
doszło do awarii.

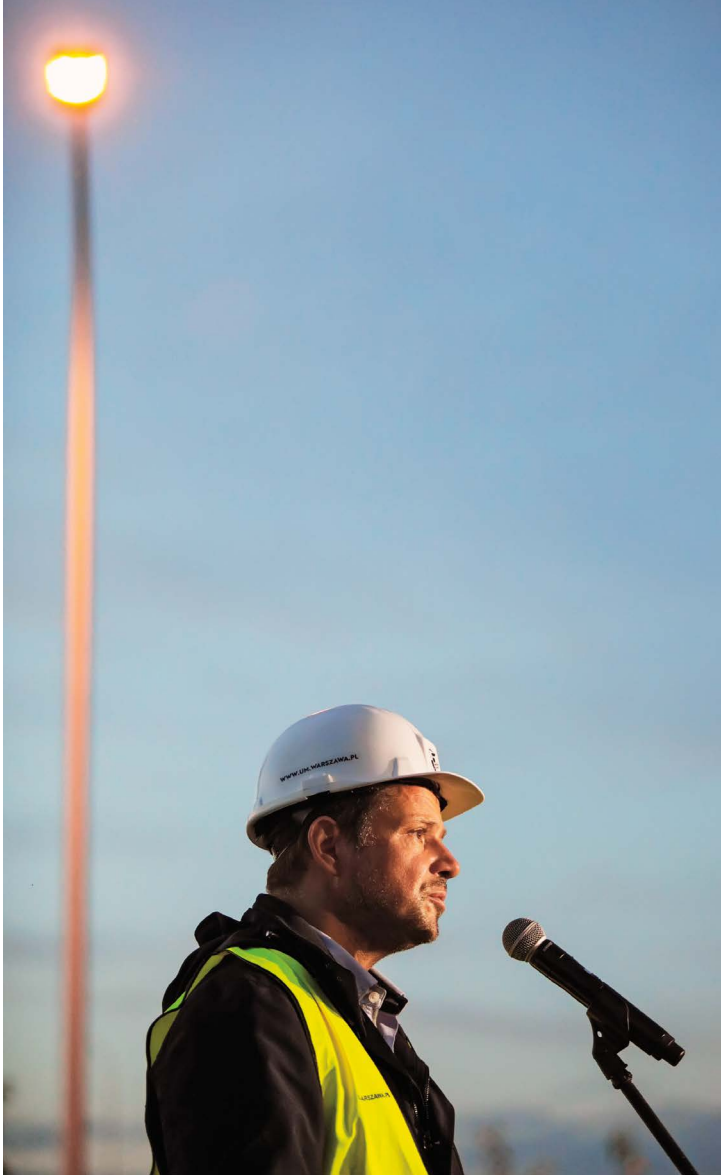
Cios hydrauliczny

Na kilka dni przed inauguracją nowego ruchu politycznego jego twórcę **Rafała Trzaskowskiego** zalały ścieki. Jak przed rokiem eksplodowały rury, którymi pod dnem Wisły płyną nieczystości. Czy zatopią Trzaskowskiego i jego ruch?

JULIUSZ ĆWIELUCH, ADAM GRZESZAK

W sobotę, 29 sierpnia o godz. 10.23 jedna z kamer zamontowanych wewnątrz tunelu, którym pod dnem Wisły tłoczono są ścieki z lewobrzeżnej Warszawy do oczyszczalni Czajka na Pradze, zarejestrowała fontannę wody. Strumień, nieco większy niż z ogrodowego węża, chwilę później był już spienionym gejzerem rozrywającym betonową

posadzkę. Tunel ma średnicę ponad 5,3 m. Na jego dnie, zalane betonem, biegną dwie rury o średnicach 1,6 m każda. W sobotnie wakacyjne przedpołudnie ścieków powinno być w nich mało. Tymczasem na filmie widać, jak tunel gwałtownie wypełnia brudna woda. W 25. sekundzie zaczyna się kotłować pod sufitem tunelu, tworząc pędzącą falę, 10 sekund później kamera ulega zniszczeniu. Gdyby w tunelu ktokolwiek był, nie zdążyłby uciec. A przecież tydzień przed awarią panował tam tłok. Inżynierowie kończyli serię przeglądów. Ich wnioski były optymistyczne, system jest w dobrym stanie. Po awarii sprzed roku nie ma śladu, można eksploatować.



O godz. 10.24 Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji (MPWiK) zostało postawione na nogi. Przez pierwsze dwie godziny próbowano zapanować nad systemem i ustalić, co właściwie się stało. I jaka jest skala zniszczeń. Tym bardziej że do rozerwania rur doszło nie na początku tunelu jak przed rokiem, ale bliżej środka. Około 13.00 wiadomo już było, że uszkodzenie jest dużo poważniejsze niż poprzednio. Ponadkilometrowy tunel pod dnem Wisły był w całości zalany ściekami. Pękła jedna z dwóch rur przesyłowych, które przy mniejszym natężeniu ścieków pracowały naprzemiennie. Wiele wskazywało na to, że uszkodzona została również druga. A to oznaczało, że Warszawa po raz drugi w ciągu roku straciła możliwość oczyszczania ścieków z siedmiu lewobrzeżnych dzielnic.

Przez pierwsze godziny setki metrów sześciennych ścieków gromadzono w trybie awaryjnym w kolektorach rezerwowych. Ok. 13.00 nikt już nie miał wątpliwości, że awarii nie da się szybko opanować. Ścieki trzeba zrzucić do Wisły, a o całej sprawie zawiadomić prezydenta miasta. To trudne zadanie dostał sekretarz miasta Marcin Wojdat, który odpowiada m.in. za zarządzanie kryzysowe. Nie wiadomo, jak zareagował Trzaskowski.

Tymczasem kryzys pędził jak ścieki przez tunel i tryskał każdą szparą. Zwłaszcza od strony rządu, dla którego była to wymarzona okazja, by zatopić polityka szykującego się do tworzenia opozycyjnej siły politycznej. Dlatego w trybie ekspresowym

Przemysław Dacą, prezes Wód Polskich, i Grzegorz Witkowski, wiceminister Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej, pojawili się przy wiślanym kolektorze, by wytłumaczyć dziennikarzom, jakie zagrożenia stworzył prezydent Warszawy i jakie błędy popełnił. Ściek trysnął też na Trzaskowskiego z internetu. Żartami w rodzaju: Czy bawią się dzieci w Płocku? Klockami z Warszawy.

Żeby się przed tym bronić, wodociągowców z Płocka poproszono o pobranie próbek wody z Wisły na krótko przed awaryjnym zrzutem ścieków do rzeki i monitorowanie po zrzuć. Były w normie. Telewizja Jacka Kurskiego zaczęła Trzaskowskiego pracownika topić w szambie. Już w sobotę zyskał przydomek „prezydent usterka”, choć wciąż nie było wiadomo, co to za usterka i co się tak naprawdę stało.

Szukanie winnych

„Dziś ponosimy konsekwencje błędnych decyzji z przeszłości: z 1999 r. i 2005 r. o odrzuceniu planów budowy oczyszczalni na lewym brzegu, i decyzji, których wynikiem są poważne błędy projektowe całego rurociągu. Dlatego od XI 2019 r. pracujemy nad zupełnie nowym systemem” – napisał na Twitterze Rafał Trzaskowski. Ratusz zaczął analizować, kto co zrobił, a czego nie zrobił w dziedzinie polityki wodno-ściekowej w Warszawie. W 1999 r. prezydentem był Paweł Piskorski, a w 2005 r. Lech Kaczyński. Ale odłamki polecały też na Hannę Gronkiewicz-Waltz.

Kluczowe pytanie brzmi: dlaczego niemal cała stolica korzysta z jednej oczyszczalni Czapka? Zaprojektowano ją na początku lat 70., a potem latami budowano. Oddana do użytku w 1991 r. szybko wymagała rozbudowy i modernizacji, bo nie spełniała rosnących wymagań środowiskowych. Gnębiły ją awarie, zwłaszcza spalarnia osadów ściekowych często była nieczynna. Z konieczności Czapka stała się główną warszawską (niewielka część miasta korzysta z małej oczyszczalni Południe w Wilanowie) i największą w Polsce oczyszczalnią ścieków. Jej położenie wymusza tłoczenie olbrzymich ilości ścieków z większej części lewobrzeżnej Warszawy pod Wisłę. Przejście na głębokości 10 m pod dnem rzeki, w tunelu przypominającym tunel metra, i zakończone po obu brzegach wielkimi kolektorami, to sam w sobie potężny i kosztowny obiekt hydrotechniczny. Jego budowa kosztowała 214 mln zł. Zdaniem części specjalistów to z natury rzeczy najsłabszy punkt w systemie. Dwie awarie, rok po roku, o tym świadczą.

Tunel ratunkowy

Tunel pod Wisłą był rozwiązaniem ratunkowym, bo pierwotny plan zakładał budowę lewobrzeżnego odpowiednika Czapki. Na północnym skraju Warszawy, między dzielnicą Bielany a przylegającymi satelitarnymi Łomiankami, miała powstać oczyszczalnia Pancerz, zwana tak od nazwy sąsiadującej ulicy. Do dziś jest tam rezerwa terenu. Rozważano też lokalizację na terenie pobliskiej Huty Lucchini. Sprawa budowy Pancerza ciągnęła się latami i nie mogła doczekać się realizacji jeszcze za czasów, gdy prezydentem Warszawy był Lech Kaczyński. Ten, jak mógł, unikał decyzji inwestycyjnych, choć większość ścieków trafiała wprost do Wisły. Dzięki temu jednak nie można mu zarzucić, że zbudował coś, co dziś zawodzi.

Kiedy władzę w mieście objęła Hanna Gronkiewicz-Waltz, wrócił dylemat: budować Pancerz, czy rozbudować Czapkę i podłączyć do niej lewobrzeżną Warszawę? Gronkiewicz-Waltz kluczyła. Mieszkańcom dzielnicy Białołęka, znoszącym uciążliwości i smrody Czapki, obiecywała, że oczyszczalnia rozbudowywana nie będzie, a mieszkańców Bielany, którzy zapowiadali, że do budowy Pancerza nie dopuszczą, upewniała, że oczyszczalnia tam nie powstanie. ►